

PAUza

Akademicka



Rok III

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 122

Kraków, 5 maja 2011

Publikujemy tekst wygłoszony przez Profesora Jerzego Szackiego podczas konferencji „Nauka w sieci wpływów”, zorganizowanej przez Polską Akademię Nauk w dniu 14 kwietnia 2011 w Warszawie (AMK).

Czy i w jakiej mierze można mieć zaufanie do ludzi nauki w Polsce?

JERZY SZACKI

Zastanawianie się nad odpowiedzią zacząłem od introspekcji i stwierdziłem, że najwięcej zaufania mam na ogół do tych spośród nich, którzy pracują w dziedzinach, na których sam się nie znam, i to w dodatku głównie wtedy, gdy wypowiadają się o sprawach, o których żadną miarą nie mogę wyrobić sobie własnego zdania.

Jeżeli chodzi o wszystkich innych „ludzi nauki”, to na pytanie skłonny jestem wymijająco odpowiedzieć: **zależy** do których i **zależy** pod jakim względem. Mając pewien zasób wiedzy i osobistego doświadczenia, jestem zwykle w stanie (z pomocą tzw. środowiska) z grubsza ocenić sytuację i wybrać sobie jakiś w miarę wiarygodny autorytet. Otóż, nie mógłbym tego robić, gdybym co najmniej milcząco nie zakładał, że właśnie wśród „ludzi nauki” znajdę takich, którzy albo sami to wiedzą lub przynajmniej potrafią mnie skierować pod właściwy adres.

Potrafię zwykle jakoś uzasadnić dokonanie takiego, a nie innego, wyboru autorytetu, ale jego podstawą jest, tak czy inaczej, **wiara**.

Po pierwsze, wiara w **Naukę jako taką**, która z istoty swej jest, jak ongiś powiadano, „skarbnicą wiedzy”, nauczycielką najbardziej niezawodnej metody, „nosicielką postępu” itd. Otóż, w XX wieku ta wiara uległa – jak się zdaje – poważnemu osłabieniu wraz z odkryciem, że postęp nauki, techniki i oświecenia publicznego sam przez się ani nie czyni ludzi lepszymi, ani nie oznacza likwidacji wszelkich trapiących ludzkość plag i rozwiązańa nauka jest jako **jedna z wielu form wiedzy** i dlaczego miałyby być jakoś szczególnie uprzywilejowana. Ich wątpliwości nie dotknęły może rdzenia nauki jako **science**, ale udzieliły się bardzo wielu humanistom i nie pozostały bez wpływu na popularne wyobrażenia o wartości nauki jako źródła **mądrości**, nie zaś tylko wysoce specjalistycznej wiedzy fachowej.

Paradoksalnie, epoka bezprecedensowych osiągnięć naukowych okazała się zarazem epoką rosnącej niepewności i wszechobecnego ryzyka, a także epoką, której filozofowie z wyjątkowym zapałem zaczęli głosić – słusznie zresztą poniekąd – kryzys **scjentyzmu** jako światopoglądu, a także spierać się o to, czym właściwie nauka jest jako **jedna z wielu form wiedzy** i dlaczego miałyby być jakoś szczególnie uprzywilejowana. Ich wątpliwości nie dotknęły może rdzenia nauki jako **science**, ale udzieliły się bardzo wielu humanistom i nie pozostały bez wpływu na popularne wyobrażenia o wartości nauki jako źródła **mądrości**, nie zaś tylko wysoce specjalistycznej wiedzy fachowej.

Osiągnięcia nauki są z pewnością immanentną częścią środowiska, w którym żyje współczesny człowiek,

wykorzystujący je na co dzień jako narzędzia i zabawki, ale nie przeszkadza mu to wierzyć w **czary** i najrozmaitsze **paranauki**, które laikowi potrafią obiecać większą niż nauka przystępność i natychmiastową skuteczność.

Oczywiście, upraszczam i mocno przesadzam. Chodzi mi jednak o jak najmocniejsze podkreślenie, że zaufanie do „ludzi nauki” zależy również (i to w niemałym stopniu) od **pozycji nauki w kulturze** danego czasu, od powszechności poglądu, że służy nie tylko technice lub rozwiązywaniu jakichś tam ezoterycznych problemów, ewentualnie dostarczaniu dodatkowych powodów do narodowej dumy, ale i powszechnemu **oświeceniu**.

Nie wierzę w „naukowy światopogląd”, niemniej jednak sądzę, że nauka kształci, jak gdyby mimochodem, pewne **cenne społecznie cnoty**, do których zaliczyłbym na przykład zdolność dyskusowania, odróżnianie domniemań od pewników, branie pod uwagę rzeczowych argumentów przeciwnika, odpowiedzialność za słowo, gotowość do dialogu itd. Ponadto, jest obszarem, na którym bezwzględnie obowiązuje przestrzeganie – ściślejsze niż gdzie indziej określonych – **reguł postępowania**. Nie tu miejsce na dyskusję, jakie te reguły są – wystarczy powiedzieć, że **takie reguły są**. I właśnie ich stosowanie różni myślenie naukowe od potocznego.

Z tego punktu widzenia „ludźmi nauki” czy też – by wyrazić się odrobinę staroświecko – *uczonymi* są ludzie, którzy owe reguły znają i (co najmniej w zakresie własnej specjalizacji) ich przestrzegają, starając się uzyskać przy tym, w miarę swych możliwości, rezultaty liczące się – by tak rzec – nie tylko w rocznym sprawozdaniu czy – dajmy na to – przy rozliczeniu grantu. Jest to – rzecz jasna – daleko posunięta **idealizacja**; chcąc wierzyć w naukę i ufać jej przedstawicielom, niepodobna jednak się bez niej obejść.

Koniecznym warunkiem zaufania do „ludzi nauki” wydaje się więc **także** wiara, że prócz dyplomów, stopni, tytułów, odpowiednich afiliacji instytucjonalnych i miejsca w urzędowej klasyfikacji zawodów posiadają oni w zauważalnym stopniu owe cechy charakterystyczne dla wyidealizowanej nauki jako takiej, stanowią jej, lepsze czy też tylko trochę gorsze, **uosobienie**. Otóż, truizmem jest, niestety, twierdzenie, że jest to całkiem często wiara

(ciąg dalszy – str. 2)



Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Czy i w jakiej mierze...

(ciąg dalszy ze str. 1)

plonna. Nie bez powodu dyskusje o kondycji moralnej „ludzi nauki” przekształcają się tak łatwo w lamenty na upadek obyczajów. Też w tych lamentach biorę czasem udział, ale dzisiaj nie mam ochoty. Wolę założyć tym razem, że „ludzie nauki” mają w większości całkiem dobre chęci i największy problem to **warunki**, w jakich nauka się znalazła w naszych czasach.

Mam na myśli **umasowienie** nauki, pociągające za sobą rosnący udział bezrefleksyjnych wykonawców bardzo wycinkowych zadań, jej **urynkowanie** i większą niż kiedykolwiek **zależność od niekoniecznie oświeconych sponsorów**, wynikającą po prostu z faktu, że coraz trudniejsza lub wręcz niemożliwa jest praca chałupnicza. Mówiąc o nauce polskiej, mam na uwadze także, a może przede wszystkim, skumulowanie się skutków długotrwałego lekceważenia potrzeby rozwoju nauki jako dźwigni modernizacji; **pauperyzację** tych ludzi nauki, którzy chcieliby poświęcić się całkowicie swemu właściwemu powołaniu; niedostatek wysiłku edukacyjnego, który poprawiałby nie tylko statystyki, ale i przeciętny poziom wykształcenia itd.

Są to, oczywiście, sprawy znane, **same** – jak powiadają politycy – „**priorytety**”. Wiadomo, co, tylko nie bardzo wiadomo, *jak, po co i za co*. Wspominam o tym wszystkim jedynie dlatego, że domniemy upadek obyczajów, którego symptomy raz po raz obserwujemy, ma swoje głębokie **przyczyny** polityczne, społeczne, ekonomiczne oraz instytucjonalne. Byłoby cudem, gdyby go nie było. Cudem jeszcze większym – być może – aniżeli to, że ciągle niemało jest młodych ludzi, którzy wybierają karierę naukową.

Nie mam zamiaru zrzucać całej odpowiedzialności na bezosobowe warunki czy też na polityków, których działania dotyczące nauki należą ciągle w znacznej mierze do kategorii znakomicie w czasach PRL opisanej przez Jana Lutyńskiego jako *działania pozorne*. Ani, tym bardziej, na tzw. społeczeństwo, w którym „wykształciuchy” niekoniecznie są szanowane, praca umysłowa uchodzi pospolicie za lekką, a własność intelektualna nie jest prawdziwą własnością, której zawłaszczenie byłoby zwyczajną kradzieżą.

Środowisko naukowe też nie ma powodów, aby mieć czyste sumienie i brak powodów, aby sądzić, że pod względem kondycji moralnej góruje nad innymi. Każdy z nas zna zapewne enklawy, które można stawiać za wzór wszelakich cnót, jako całość wyróżnia je wszakże głównie większa zapewne od przeciętnej dbałość o zachowywanie pozorów, którą daje się wyjaśnić tym, że dla tak wielu z nas wydział czy instytut to miejsce stałego osiedlenia, a jakaś część ludzi nauki to **plemię**, z którego nie oplaca się ostentacyjnie wypisać. Trzeba nader mocnych pokus i braku wyobraźni, żeby zrobić coś jawnie niestosownego. Zamieszkanie przez nas osady tym wszakże różni się od tradycyjnych wspólnot lokalnych, że panuje w nich duża (i coraz większa) **tolerancja** dla odmienności i ekstrawagancji wszelkiego rodzaju, które w niejednym środowisku spotkałyby się z natychmiastowym potępieniem. To może i bardzo dobrze, ale czasem bardzo źle.

Dobrze tylko tak długo, jak długo spełnione są dwa warunki. Po pierwsze, respektowane są pewne *elementarne*, wspólne dla wszystkich ludzi, zasady, które dla uproszczenia skłonny jestem sprowadzić do dekalogu – może nawet trochę skróconego na użytek niewierzących. Po drugie, przestrzegane są pewne *swoiste dla nauki reguły*, których przestrzeganie decyduje o tym, że jest ona nauką, a nie czymś innym, a to właśnie jako nauka jest społeczeństwu potrzebna. Ważniejsze od prawienia moralów jest przeto cierpliwe tłumaczenie, na czym polega ten szczególny rodzaj działalności poznawczej i edukacyjnej, niezastępowalnej przez żadną inną, oraz praktyczne podwyższanie i egzekwowanie wymagań. Na razie chętnie narzekamy, że są za niskie; kiedy wszakże przychodzi co do czego, przymierzamy swoje oceny nie do wysokich wzorów, lecz do lokalnej średniej, bo tyle było przecież dużo gorszych prac. Rzeczywiście było ich bardzo dużo. I będzie coraz więcej z tych powodów, które usiłowałem w skrócie wyliczyć. Kiepska kondycja moralna ludzi nauki jest tylko jednym z nich.

JERZY SZACKI

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Narodowe Centrum Nauki to dobre rozwiązanie. Nie zazdroścę szefowi. Olbrzymia maszynaria biurokratyczna i źródło niezadowolonia.

Czy to Centrum zbawi polską naukę? Chyba nie. Bowiernie same rozwiązania naukowe, otrzymane drogą grantów, nie stworzą polskiej supernauki.

Podobnie – publikowanie w pismach tzw. filadelfijskich. To tylko miarka. W USA czyta je głównie środowisko akademickie, które robi habilitację, czyli „tenure track”. W Polsce nie wszyscy mają dostęp do tych pism. Zawsze, gdy jestem na polskiej uczelni, to badam ich zasoby pism naukowych. Słabe.

Przykładowo, co można powiedzieć o tak ważnej dziedzinie, jak informatyka i jej nauki, która nie ma swego pisma naukowego w Polsce? Co z tego, że któryś profesor czy doktorant opublikuje coś w piśmie „filadelfijskim”, skoro prawdopodobnie nikt w Polsce tego nie przeczy-

ta, bowiem naukowych pism informatycznych jest 50+. Ponadto, na pewno nikt z praktyki tego nie przeczyta. Czyli „nauka dla nauki”.

Na „światowym” zjeździe inżynierów na Politechnice Warszawskiej we wrześniu 2010 nie pozwolono z sali zgłaszać wniosków ani nad nimi głosować. Co śmieszniejsze, sami organizatorzy też nie zgłosili żadnych wniosków. W dyskusjach najżywi byli uczestnicy z zagranicy. Inżynierowie z kraju bali się wychylać – mówili po cichu na korytarzu.

Moim zdaniem, tego typu kultura nie sprzyja rozwojowi nauki ani techniki w Polsce.

22 kwietnia 2011

ANDREW TARGOWSKI

[Prof. Dr (tenured)]

Western Michigan University

Director of the Center for Sustainable Business Practices
Kalamazoo, Michigan 49008, USA